

# AUTOBIOGRAFIA NARRATORKI 4

## CZEŚĆ I – BIOGRAFIA PRZEŻYTA

Mam wrażenie, że macierzyństwo to doświadczenie, które funkcjonuje poza językiem. Nie znam pojęć i wyrażań, którymi w nieinfantylny sposób można wyrazić to, czym jest ono dla mnie. Bo to nie jest tak, że moje dziecko to „największy mój skarb na świecie”, „najlepsze, co mi się w życiu przytrafiło”, „każdy dzień to przeżywanie radości z jego rozwoju”. Trochę tak, ale to nie jest to, co chciałoby się tak naprawdę powiedzieć. To za proste, za płytkie. Zgadzam się z Julią Kriestevą co do tego, że doświadczenia kobiece są wyłączone z języka. Narracje przez wieki prowadzili wyłącznie mężczyźni, trudno się więc dziwić, że nie ma narracji matek. Dla opisu miłości damsko męskiej znajdziemy wiele określeń, tomy książek i wierszy. Dla macierzyństwa nie. Nawet od kiedy kobiety zaczęły tworzyć własne narracje, a trwa to już dobre kilkadziesiąt lat, nie powstało wiele pozytywnych opisów macierzyństwa. Czyżby byłoby to przejęcie męskiej perspektywy?

Zaczynam od tego, dlatego, że od kiedy zaszłam w ciążę widzę, że macierzyństwo to doświadczenie spoza języka i dostępnych narracji. Jest to doświadczenie, w którym odnajduję siebie, które pokazuje mi w bardzo mocny sposób sens mojego ciała i to, co znaczy być kobietą. Było to doświadczenie, które początkowo mnie przerosło i przyniosło mi cierpienie, ale gdy ono minęło ujawniło we mnie rzeczy, o których nie miałam pojęcia. Dzięki macierzyństwu czuję się prawdziwą kobietą, czuję się kobieco. Sprzeciwiam się temu, żeby pojęcie kobiecości służyło do opisu kobiet atrakcyjnych dla mężczyzn. Uważam, że nie ma nic bardziej kobiecego niż ciąża, poród, karmienie piersią – niż macierzyństwo.

Mam więc problem z tym, aby swoje doświadczenia ubrać w słowa. Myślę, że dotyczy to nie tylko urodzenia dziecka, ale wielu przeżyć. Wybrałam kilka obrazów, które oddają moje doświadczenia dużo lepiej.

### Moje drogi i sytuacje edukacyjne

Mam 24 lata. Jestem typowym dzieckiem polskiej szkoły. Zakodowano mi słuszność systemu oceniania, przekonanie, że trzeba się uczyć, żeby mieć dobrą pracę, że nauczyciele mają rację, że dopóki się uczę, to jestem dzieckiem, że mam siedzieć w ławce i podnosić rękę zanim coś powiem. Moja edukacyjna droga w tej kwestii zatoczyła koło. Robiłam to w pierwszej klasie podstawówki, jak i na ostatnich zajęciach na piątym roku studiów

z pedagogiki: siedzieć w ławce, mieć dyktowane do zeszytu (!) i zgłaszać się do odpowiedzi. Studia z pedagogiki były pełne tego rodzaju doświadczeń, można by w gruncie rzeczy pękać ze śmiechu przyglądając się z boku zajęciom na uniwersytecie. Niestety, wykładowcy nie robili tego dla żartu. Ale o tym może później.

Urodziłam się i wychowałam we Wrocławiu. Tu chodziłam do podstawówki, w miarę typowej, dzięki której nabawiłam się nerwicy i nienawiści do systemu szkolnego. W gimnazjum udało mi się trochę polubić szkołę, nauka szła mi bardzo dobrze, mogłam wybrać dowolne liceum we Wrocławiu. Wybrałam się więc do „piątki”, czyli szkoły niegdyś humanistyczno – językowej, do klasy „dyplomacja europejska”, która miała nas przygotować do studiowania prawa i błyskotliwej kariery. Tutaj złapał mnie kryzys, opór i potrzeba zakwestionowania świata dorosłych. To chyba typowe, jak sądzę. Szkołę skończyłam ledwo, byłam ostoją wagarowania. Dla poratowania psychiki i zastanowienia się, co *tak naprawdę* chcę w życiu robić wybrałam się na studia z filozofii.

Filozofia była, patrząc z dzisiejszej perspektywy, naprawdę dobrym wyborem. Zobaczyłam jak wygląda Uniwersytet, swobodne studiowanie, zajmujące dyskusje na abstrakcyjne tematy, poszukiwanie wartości i ukrytych znaczeń. Nauczyło mnie to krytycznego myślenia i leczyło z przekonania, które wyniosłam ze szkoły: „Jesteś głupia”.

Na doświadczenia z dziedziny edukacji formalnej nałożyło się doświadczenie osobiste, związane z moim młodszym o 16 lat bratem, Dawidem. W mocnym stopniu towarzyszyłam mu w jego rozwoju. Różnica wieku między nami sprawiała, że w zasadzie sama mogłabym być jego matką. Okres moich studiów z filozofii pokrył się z czasem, kiedy Dawid zaczął ujawniać swoją nienormatywność. W zasadzie od początku jego życia wiadomo było, że nie będzie dzieckiem *typowym*. Był to też okres, kiedy spędzałam z nim więcej czasu. Wszyscy poza mną irytowali się na jego zachowanie: nie bawił się *normalnie*, nie zachowywał się *normalnie*, nie mówił *normalnie*. Trafiłam wtedy na książkę Korczaka „Jak kochać dziecko”. Pamiętam, że chodziłam z Dawidem na pętlę tramwajową, gdzie on przez 2 godziny zadawał mi w kółko jedno pytanie i myślałam o tym, co Korczak pisał o tym, aby pozwolić dziecku być tym, kim jest. Było to coś na kształt oświecenia: Dawid nie musi być taki jak wszyscy. To, jaki jest dobre, nie trzeba go zmuszać do tego, żeby był jak wszyscy, ma prawo do bycia sobą. Nie ma też sensu się frustrować tym, jaki jest.

Niewątpliwie obecność Dawida w moim życiu pokazała mi jak inspirujące i *edukacyjne* jest spotkanie z dzieckiem. Zobaczyłam, że odnajduję się w pracy, która polega na rozpoznawaniu drugiej osoby i pomaganiu w jej rozwoju. Dlatego zdecydowałam się studiować pedagogikę.

Dzięki urokom systemu bolońskiego, studia licencjackie i magisterskie z pedagogiki mogłam robić jednocześnie, posiadając wcześniej licencjat z filozofii. W ten sposób w Instytucie Pedagogiki spędziłam trzy lata, zamiast pięciu. Niestety, studia okazały się dla mnie rozczarowujące. Po dwóch latach studiowania filozofii, gdzie dyskusje na zasadzie partnerskiej były normą, trafiłam do Instytutu, gdzie trzeba podnieść rękę, żeby się odezwać, gdzie dostaje się plusy za aktywność, gdzie zajęcia polegają na powtarzaniu tekstu, a każda własna opinia może być wyrażona tylko wtedy, gdy pokrywa się z opinią prowadzącego. Czułam się jakbym wróciła do szkoły podstawowej. Wykładowców, którzy mieli krytyczne podejście do systemu szkolnego policzyć można było na jednej dłoni. Do tego dochodziły sytuacje naprawdę groteskowe, gdzie na zajęciach prowadzący omawiał podstawowe błędy pedagogiczne, popełniając je jednocześnie. Poziom studiów mocno mnie rozczarował, zdobywanie wysokich ocen były bardzo proste, co sprawiało, że nie ceniłam swoich osiągnięć w tej dziedzinie. Brakowało mi też konkretnej wiedzy z dziedziny prawa i psychologii. Przede wszystkim jednak brakowało mi wymagań. Mam wrażenie, że Instytut Pedagogiki wypuszcza osoby z tytułem bez pokrycia. Wiem, że wiele uczelni to dziś robi, jednak frustruje mnie, że i ja jestem taką osobą. Myślę, że drugi raz nie zdecydowałabym się na te studia. Nie zmienia to moich decyzji co do przyszłej pracy, podejścia do dzieci, jakie chciałabym mieć. Myślę jednak, że w byciu Pedagogiem studia z pedagogiki mogą być bardziej przeszkodą niż pomocą.

Podczas studiów wybrałam specjalizację z resocjalizacji. Była to dla mnie trudna decyzja, ponieważ rozpoczynając je planowałam wybrać specjalizację z pedagogiki opiekuńczej. Gdy poznałam jednak osoby, które jej uczą, uznałam, że przerasta moją wytrzymałość, aby u nich studiować. Wybrałam specjalizację, która wydawała mi się być najbardziej zbliżona.

Pomimo mojego ogólnego rozczarowania studiami, w Instytucie Pedagogiki spotkałam osoby, które uosabiały wartości, których szukałam i były dla mnie drogowskazem. Były to osoby, które traktowały każdego podmiotowo, naprawdę słuchały, naprawdę były otwarte na Innego, nie były cyniczne. Myślę, że dzięki nim oraz na zasadzie kontrastu do innych zobaczyłam, że pedagogika to pewnego rodzaju służba, postawa, ciągły krytycyzm wobec siebie i weryfikowanie własnych zachowań. Myślę, że niewielu jest dobrych pedagogów, ale widzę i znam kierunek, w którym sama chciałabym zmierzać.

Tyle o mojej edukacji w instytucjach. Myślę, że w gruncie rzeczy w niewielkim stopniu określiła ona to kim i jaka dzisiaj jestem. Może najmocniej oddziaływała na mnie szkoła podstawowa, z której traumy musiałam się leczyć wiele lat i do dziś nie wiem czy

jestem zupełnie zdrowa. Wyniosłam z niej poczucie niższości, przekonanie, że efekty mojej pracy niezależnie od mojego wysiłku i tak będą słabe, lęk przed odezwaniem się, paniczny lęk przed wystąpieniami publicznymi. Wszystko to w imię wysokich wyników nauczania, czyli sztuka dla sztuki. Jest to dla mnie niepojęte i ciekawe, że dla większości ludzi oceny i wiedza ich dzieci mają tak ogromne i prestiżowe znaczenie, chociaż w rzeczywistości nie zmienia to niczego. I nauczyciele, którzy dadzą się zabić, żeby ich szkoła miała wysoką pozycję w rankingu. Nie mam pojęcia po co. Bo na pewno nie dla tej wiedzy, której większości już nie pamiętam.

Najważniejszym doświadczeniem edukacyjnym oraz ogólnie życiowym jest dla mnie moja wiara. Stałam się świadomą katoliczką na przełomie gimnazjum i liceum, nazwałabym ten okres nawróceniem. Od wtedy, czyli od roku 2004 jestem we wspólnocie, czyli należę do grupy osób, które regularnie spotykają się na wspólnej modlitwie i eucharystii. W 2004 była to grupa młodzieżowa, obecnie jesteśmy w większości dorośli i mamy dzieci. Piszę, że jestem wierząca, jest to jednak pewnego rodzaju skrót myślowy. Prawdziwe byłoby stwierdzenie, że mam nadzieję któregoś dnia być wierząca, to znaczy urzeczywistnić w swoim życiu to, czym jest Ewangelia, to znaczy być jednoznacznym i autentycznym, nie oceniać, nie sądzić innych, kochać bezwarunkowo. Dziś mogę powiedzieć, że jestem na pewnej drodze, że mam na to nadzieję. Rodzina i wspólnota są dla mnie przestrzeniami, w których cały czas weryfikuję to jaka chciałabym być z tym jaka jestem. To sprawdzian mojej autentyczności. Wiara to też doświadczenie tego, że Bóg jest. Jest obecny w historii świata, w moim życiu. Bóg jest dobry i ogólnie rzecz biorąc mnie lubi. A ja i inni ludzie jesteśmy naprawdę wolni w tym, co zrobimy z tym faktem.

W Kościele spotkałam jedną z osób, która z pewnością była i jest dla mnie drogowskazem. Jest to franciszkanin, br. Łukasz. W zasadzie ciężko mi przełożyć na słowa to, kim jest dla mnie. Na pewno jest człowiekiem, który ma wiarę i realizuje powołanie franciszkańskie. Mieszka w najgorszej dzielnicy Katowic, nie ma żadnych dochodów poza tym, co dostanie od ludzi, spędza czas z bezdomnymi. Na pewno jest dla mnie dowodem na to, że można żyć bez pieniędzy i można być bardzo wolnym

We wspólnocie spotkałam swojego męża Maćka. Małżeństwo, czy wcześniej związek, to z pewnością sytuacja edukacyjna, jedna z najważniejszych dla mnie. Z Maćkiem jestem w związku od 2007 roku, chociaż nasza wspólna historia sięga już w zasadzie 2004. Łączyła nas przyjaźń oraz trochę zamotana, licealna historia miłosna. Zaczęliśmy być ze sobą na początku studiów, po dwóch latach związku Maciek się oświadczył. W październiku 2010 wzięliśmy

ślub. Akurat kończyłam studia z filozofii i zaczynałam magisterium z pedagogiki, studiując już licencjat z resocjalizacji. Miałam 21 lat, a Maciek 22. Studiował politologię.

Wydaje mi się dziś, że bycie z Maćkiem ukształtowało mnie jako osobę w bardzo mocnym stopniu. Choć być może polega to na tym, że byliśmy ze sobą od okresu dorastania do dorosłości, w czasie, kiedy w ogóle kształtuje się osobowość człowieka. Razem przechodziliśmy przez studia, wyprowadzenie się z domu, różne prace, przez które się utrzymywaliśmy, rodzicielstwo. Myślę, że Maciek jest moim najlepszym przyjacielem. W relacji z nim na pewno poznaję swoje granice, ale też uczę się je rozszerzać

Poza Maćkiem, mam czworo bliskich przyjaciół: Szopę, Wojtkę, Basię i Lecha. Poznałam ich również we wspólnocie, chociaż z Basią studiowałam i uczyłam się również w liceum. Myślę, że ciężko byłoby mi znaleźć płaszczyznę porozumienia z osobami, które są niewierzące. Wydaje mi się również, że mam ogromne szczęście, że mam tak bliskich i fajnych przyjaciół. Spotykamy się co tydzień. W zeszłym roku Basia i Lechu wzięli ślub, byłam ich świadkiem. W miarę regularnie jeździmy razem w góry czy spędzamy sylwestra. Przyjaźń jest dla mnie sytuacją edukacyjną, która aktualizuje się na różnych etapach życia. Zaczęła się jako licealna zażyłość, przez okres usamodzielniania się, małżeństwa i rodzicielstwa. Wydaje mi się, że pomimo zmian w moim życiu nie straciła na intensywności.

Ważną dla mnie ekipą są ludzie ze Stowarzyszenia Edukacji Krytycznej, na czele z Kamilą K. Uważam, że Kamila to prezent od Boga za beznadziejne studia z pedagogiki. Na pewno nauczyła mnie tego, że jeśli coś na świecie jest nie tak, to należy to zmienić, a nie narzekać.

Ludźmi, którzy są dla mnie drogowskazem z pewnością są Margola i Witek – osoby od których przez pierwsze dwa lata małżeństwa wynajmowaliśmy z Maćkiem mieszkanie. Znamy ich oczywiście z Kościoła. Mają piątkę dzieci i są dla nas ludźmi, którzy w sposób autentyczny wierzą. Mają naprawdę inną optykę niż większość ludzi, postrzegając z dużym spokojem to, co dzieje się wokół nich. Myślę, że żyją w fajnej wolności od pieniędzy, przesadnego przejmowania się losem dzieci, w małżeństwie, które przepracowało dobrze naprawdę mocny kryzys. Są chrzestnymi naszej córki Róży.

Doświadczeniem, które mocno mnie ukształtowało jest praca we własnym zespole teatralno – tanecznym. W liceum zaczęłam interesować się tańcem średniowiecznym i renesansowym. Razem z ówczesną przyjaciółką, Anią, jeździłyśmy na turnieje rycerskie i tańczyłyśmy w zespole Gayard, dając od czasu do czasu występy na różnych imprezach. Będąc na studiach postanowiłyśmy założyć własny zespół, razem z moim mężem Maćkiem. Było to bardzo edukacyjne doświadczenie. Na pewno nie spodziewałam się, ile pracy i stresu

będzie mnie to kosztować. Znalazłyśmy 10 osób, zaczęłyśmy próby. Problemem były stroje, które są bardzo drogie. Początkowo je wypożyczałyśmy, a za pieniądze z występów spłacałyśmy własne. Organizacja występów, szukanie klientów, przygotowywanie przedstawień było trudne, ale też nagradzające. Organizowaliśmy m.in. żywe muzea, gdzie w różnych zamkach wcielaliśmy się w ich mieszkańców i przedstawialiśmy sceny z ich życia. Punktem zwrotnym w naszej działalności było uzyskanie dotacji na rozwój działalności gospodarczej z Kapitału Ludzkiego. Kupiliśmy w końcu własne stroje, wyposażenie, akcesoria. Założyliśmy działalność gospodarczą. Nie były to znaczące pieniądze, ale traktowaliśmy to jako hobby. Niestety relacje między mną i Anią nie układały się dobrze właściwie od dawna. Będąc w ciąży zrezygnowałam ze współpracy z nią, zostawiając jej zespół. Z jednej strony mam poczucie straty po czymś, na co długo pracowałam, a z drugiej strony ulgi, że nie muszę z nią już współpracować. Ulga przeważa. Jest to dla mnie też nauczka, żeby myśleć poważnie o tym, z kim i z kim wejść w poważną współpracę.

Na koniec doświadczenie niezwykle edukacyjne: macierzyństwo. Myślę, że urodzenie dziecka, to pewnego rodzaju inicjacja. Przejście do *prawdziwszego* życia. Potrzeba bycia matką była dla mnie naturalna. Skoro jestem dorosła, jestem w udanym związku, nie mam tragicznej sytuacji życiowo – finansowej, to w jakiś sposób naturalne było dla mnie, że chcę mieć dziecko. Gdy w zeszłym roku moi przyjaciele brali ślub, a ja byłam ich świadkiem, byłam w czwartym miesiącu ciąży. Pamiętam, że bardzo cieszyła mnie ta uroczystość, że widzieć, że bliskie mi osoby się kochają. Przyszła mi wtedy do głowy myśl, że gdybym była na tym ślubie, nie mając jeszcze dziecka w drodze, poczułabym mocne niespełnienie. Minęły by dwa lata od mojego własnego ślubu, który był dla mnie mocnym i pozytywnym przeżyciem. Gdybyśmy jednak dalej nie mieli dziecka, miałabym poczucie, że nasz związek jest *jałowy*. Mam przy tym wrażenie, że współcześnie takie myślenie jest mocno poddawane krytyce – że uważa się, że decyzję o rodzicielstwie powinno się odłożyć na czas większej stabilizacji, dobrej sytuacji zawodowej, posiadania własnego mieszkania itp. Czułam, że wchodząc w świadome i zaplanowane macierzyństwo w wieku 23 lat, trochę odstaję. Doświadczam tego raz na jakiś czas, kiedy ktoś odważy się i zapyta czy aby na pewno nie wpadłam. Widziałam znaczną różnicę wieku pomiędzy mną, a innymi matkami w szkole rodzenia. Dosadnie podsumowała to moja położna podczas porodu: że dziś tak młode osoby jej się nie zdarzają na zaplanowanym porodzie i nie wie czy zwracać się do mnie na ty, czy na „pani”. Podczas projektu Wózkownia kilkakrotnie już zostałam zapytana, czy jestem nianią Róży, bo ciężko sobie wyobrazić, żebym była matką współorganizującą ten projekt. W pewnym stopniu jest to dla mnie negatywne doświadczenie – mam wrażenie, że nie jestem traktowana poważnie jako

matka. Ciężko mi ocenić na ile jest to moja projekcja, a na ile realne zdanie innych, ale odnoszę wrażenie, że moje decyzje wychowawcze są przez wiele osób oceniane przez pryzmat tego, że jestem młoda i niedojrzała. Na przykład to, że daję Róży raczkować samodzielnie w miejscach, gdzie większość dzieci tego nie robi (np. kościół) i brać do rąk i buzi więcej rzeczy niż wiele innych dzieci. Odnoszę wrażenie, że wiele osób postrzega to jako mało odpowiedzialne zachowanie młodej matki. Dla mnie jest to natomiast świadoma decyzja, ponieważ uważam, że moje dziecko jest w wieku, w którym poznaje granice własnego ciała i jest to jego potrzeba rozwojowa. Chciałabym nie myśleć o swoim macierzyństwie w tych kategoriach i staram się nad sobą trochę pracować. Jednocześnie jest tak, że od kiedy pamiętam chciałam urodzić dziecko przed 25 rokiem życia i wiem, że wcale nie jestem na to za młoda. Generalnie widzę, że macierzyństwo to temat drażliwy i że kobiety czują na sobie presję z wielu stron. Jest to coś, co porównałabym do presji na bycie szczupłym, do której chcąc nie chcąc trzeba się jakoś odnieść. Tylko, że w kwestii macierzyństwa mniej się mówi wprost, a więcej za plecami danej kobiety. Trochę nad tym ubolewam, ale sama widzę, że ciężko mi powiedzieć coś krytycznego na temat wychowania jakiejś znajomej matce. Jednocześnie sama deklaruję, że chciałabym, żeby takie uwagi artykułować wobec mnie bezpośrednio, co raczej nie odnosi skutku.

Tyle o kwestiach przyziemnych. Bo macierzyństwo jest w gruncie rzeczy mało przyziemne. Jest raczej ponad naturalne, jest nie z tego świata. W jakimś stopniu jest święte ze swojej natury. Jest opozycją do obowiązującego w świecie trendu niszczenia, bo myślę że ten trend przemawia przez konsumpcję, wyścig szczurów, nastawienie na posiadanie. Rodzenie dziecka w sposób najbardziej jaskrawy się temu sprzeciwia, bo pokazuje, że aby ktoś miał życie trzeba mu naprawdę wiele oddać, odstawić na bok swój samorozwój, prawo własności do swojego ciała, swój komfort, ładny wygląd. Macierzyństwo to tryumf życia. Jest taki ciekawy obraz, dla wielu ludzi wydaje się on być niesmaczny, ale dla mnie bardzo trafnie oddaje moje emocje i doświadczenia: Katarzyna Hołda: „Ogród”.

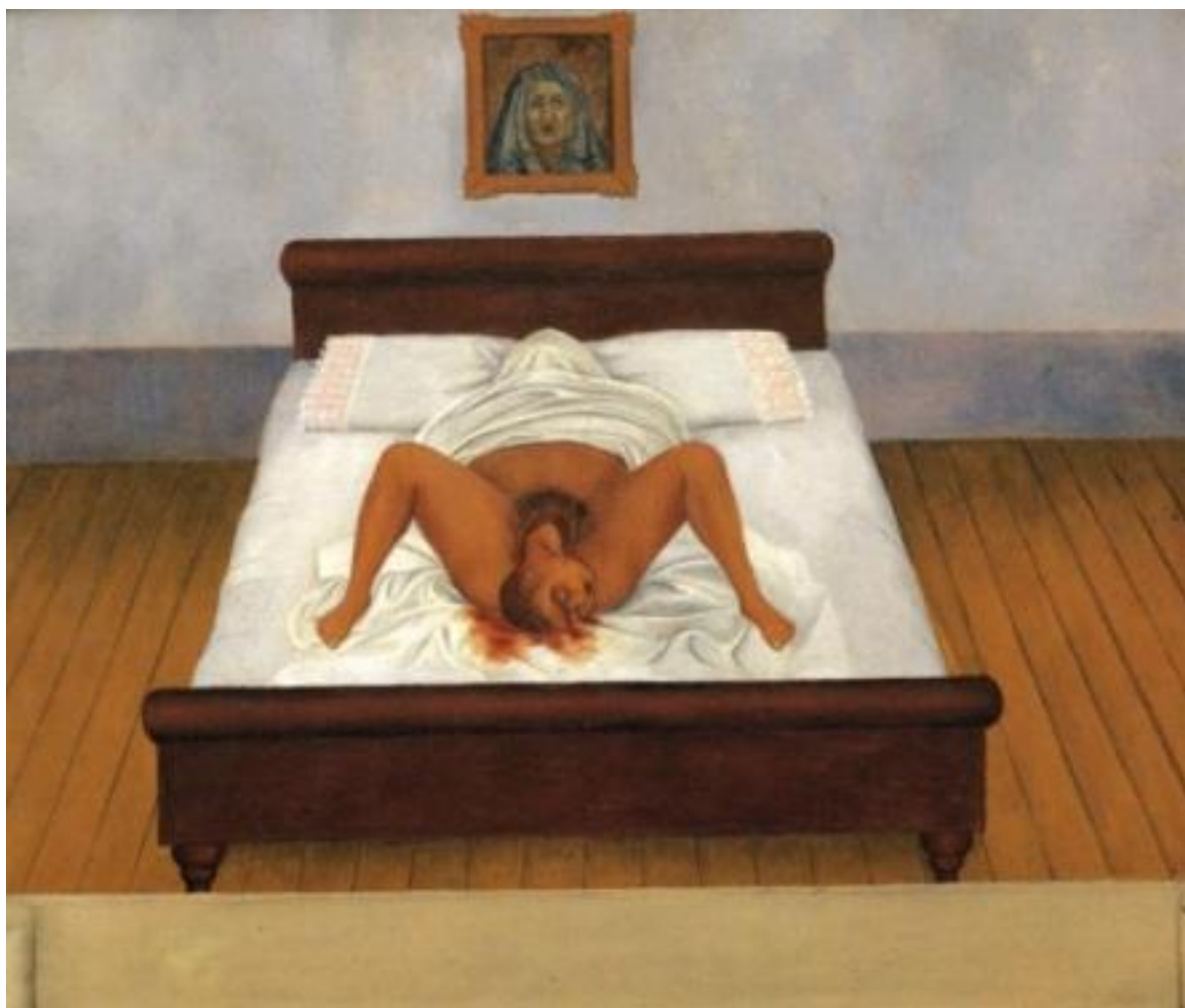
Obraz 1: Katarzyna Hołda, „Ogród”.



Uwielbiam to mleko, które tryska tej kobiecie z piersi. Jest jak światło bijące od świętego, wydaje mi się być analogią do obrazu Jezusa miłosiernego, tego, którego replika jest w każdym prawie kościele. Jest tu też niesamowicie ukazany motyw śmierci, który jest tłem macierzyństwa, chociaż ciężko mi wyjaśnić w jaki sposób.

Jest też drugi obraz, który uwielbiam, jeszcze bardziej odrażający dla większości ludzi. Frida Kahlo „Moje narodziny”

Obraz 2: Frida Kahlo, „Moje narodziny”.



Ten jest raczej o porodzie jako momencie inicjacji. Myślę, że dla mnie poród był doświadczeniem, w którym narodziłam się na nowo. Myślę również, że był to moment, kiedy stałam się w pełni kobietą. Nie twierdzę przy tym, że trzeba urodzić dziecko, aby być pełnowartościową kobietą – dla mnie po prostu było to takie doświadczenie. Na ścianie wisi obraz matki Kahlo, nie wiadomo kto właściwie rodzi. Dla mnie macierzyństwo było doświadczeniem, w którym zobaczyłam po raz pierwszy historię kobiet w swojej rodzinie. Do tej pory przekaz historyczny miał u mnie charakter mocno patriarchalny – kult przodków którzy walczyli w powstaniach, w legionach Piłsudskiego, budowali wolną Polskę itd. Historia mojej rodziny to historia mężczyzn – tak jak w ogóle rozumie się dziś historię. Dopiero kiedy zaszłam w ciążę ujawniło się istnienie historii kobiecych, np. o tym, jak prababcia jedzie pociągiem na swój pierwszy poród do Lwowa. Zaczęłam myśleć o kobietach, które przede mną rodziły moich dziadków, pradziadków – jak wyglądało ich życie, pragnienia, codzienność. Czy to było takie samo macierzyństwo jakie ja dziś

przeżywam. Na pewno więc poród sprowokował mnie to zobaczenia kobiecej przeszłości mojej rodziny.

Jest jeszcze jeden obraz, który wydaje mi się być ciekawym komentarzem do macierzyństwa. Peter Rubens „Rzymskie miłosierdzie”:

Obraz 3: Peter Rubens, „Rzymskie miłosierdzie”.



Jest to legenda pochodząca z I w n.e. o kobiecie imieniem Pero, która potajemnie karmiła piersią swojego ojca skazanego na śmierć przez zagłodzenie. Gdy jej poświęcenie się ujawniło, ojciec został ułaskawiony.

Ten obraz jest również uważany za odrażający dla wielu osób, podobnie jak niedawna okładka Time z matką karmiącą piersią 6-latkę<sup>1</sup>. Jest to w ogóle ciekawe, jak karmienie piersią i sytuacje związane z ciążą i porodem odrażają. Pokazuje to coś chyba

---

<sup>1</sup> Większość ludzi oczywiście to oburza. Ciekawym komentarzem do tego było dla mnie spotkanie z pewnym góralek w Górcach 2 tygodnie temu. Wybierałam się z Różą na spacer, a on pod jednym szczytem sprzedawał własne wyroby z drewna. Rozmawialiśmy chwilę o dzieciach i zapytał czy karmię piersią. Odpowiedziałam, że tak, na co on, w zupełnie naturalny sposób, powiedział, że mleko kobiety jest najlepsze, że jego samego matka karmiła jeszcze kiedy miał 6 lat, jego żona też długo karmiła dzieci, bo żadne inne mleko nie zastąpi ludzkiego. Nie sądzę, żeby miał pojęcie o rodzicielstwie bliskości, dla niego to po prostu było naturalne i nie musiał się tłumaczyć mówiąc o tym.

o zakłamywaniu obrazu ciała w naszej kulturze. Mnie ten obraz porusza trochę ze względu na to, że sama ciężko przechodziłam karmienie piersią, pierwsze trzy miesiące wiązało się ono z ogromnym bólem, którego przyczyn nikt nie umiał mi zdiagnozować. Kiedy chciałam odstawić dziecko od piersi zaczęły snić mi się różne dziwne sceny, jakbym miała jakąś nieuświadomioną blokadę przed tym. Między innymi sytuacje i sceny głodu, kataklizmów, w których moje dziecko, ale i inni ludzie nie mają co jeść i moje mleko jest jedynym pokarmem. Było to naprawdę dziwne doświadczenie, tak może jak dziwnie czuje się człowiek, który pierwszy raz spojrzy na ten obraz. Wydaje mi się jednak, że mam w sobie jakąś głęboką potrzebę karmienia swojego dziecka własnym mlekiem, nie potrafię sama jej w pełni zrozumieć, nie wiem jak o niej pisać, ale karmienie piersią też jest dla mnie doświadczeniem, w którym odnajduję siebie i się spełniam.

Jak pisałam we wstępie, ciężko mi wyrazić to, czym jest dla mnie macierzyństwo w sposób, który by pozwalał innym na zrozumienie mnie. Na pewno jest to dla mnie doświadczenie, o którym nie myślałam, że może być takie jakie okazało się być. Mam właściwie wrażenie, że od kiedy jestem matką wszystko jest na swoim miejscu – tak jak powinno być. Trochę jakby to doświadczenie ujawniło mój potencjał. Posługując się kategoriami religijnymi – jakby było moim powołaniem.

### **Moje drogi zawodowe**

Pod koniec studiów zdecydowałam się na zajście w ciążę. Od tego czasu minął rok, a moja córka ma 8 miesięcy. Nie podejmowałam więc jeszcze pracy na etat. Powoli zaczynam się za nią rozglądać, natomiast wciąż mam dużą potrzebę, aby pozostać z dzieckiem w domu. Podczas studiów podejmowałam się wielu zajęć dodatkowych, z konieczności samodzielnego utrzymania się, nie nazwałabym ich jednak drogami zawodowymi. W związku z zawodem pedagoga podejmowałam praktyki i staże w różnych placówkach – w szkole, organizacjach pozarządowych, w zakładzie poprawczym, młodzieżowym ośrodku wychowawczym i więzieniu. Były to sytuacje o dużo większym potencjale edukacyjnym niż studia. Poza więzieniem w każdej z tych placówek prowadziłam własne zajęcia lub warsztaty, poznawałam osoby w rzeczywisty sposób wykluczone społecznie, o trudnej historii i wielu niezaspokojonych potrzebach. Pracowałam również przy projekcie tworzenia gminnego standardu wychodzenia z bezdomności. Odwiedziłam przy tej okazji wszystkie wrocławskie placówki zajmujące się osobami bezdomnymi i przeprowadziłam w sumie sto wywiadów z ich mieszkańcami. Wiedzę i świadomość, którą zdobyłam w czasie tej pracy porównałabym spokojnie do roku spędzonego na studiach. Działałam również w organizacji

streetworkerskiej, pracując z dziećmi na nadodrzańskich podwórkach. Realizowałam na nich również swój własny projekt przeciwdziałania wykluczeniu społecznemu. Temat wokół którego kręci się moja praca to patologie społeczne i przeciwdziałania wykluczeniu. Był to również temat mojej pracy dyplomowej z resocjalizacji. Obecnie poszukuję pracy w tej branży. Chciałabym dostać się na aplikację kuratorską. Od kwietnia pracuję również jako kurator społeczny. Myślę, że w tym zawodzie potrzebne są te predyspozycje i umiejętności, które posiadam. Ale kto wie...

Poza zajmowaniem się dzieckiem i odwiedzaniem podopiecznych zajmuję się w chwili obecnej projektem „Wózkownia”, którego celem jest przekonywanie rodziców z małymi dziećmi o tym, że nie są wykluczeni z kultury oraz z przestrzeni publicznej. Spotykamy się co tydzień w kinie Nowe Horyzonty na filmie i warsztatach. Projekt trwa od marca tego roku i zebrał już pewną stałą grupę rodziców zainteresowanych tematem.

## **CZĘŚĆ II – BIOGRAFIA NIEPRZEŻYTA**

Mam duży problem z tym, aby opisać jaką historię życia chciałabym przeżyć. W kwestii przeszłości dużą wagę przywiązuje do tego, aby zaakceptować swoją historię taką, jaka była, ponieważ dzięki niej jestem dziś tym, kim jestem. Na pewno nie jest tak, że chciałabym zlikwidować, wykasować doświadczenia negatywne. Nie wiem jaką byłabym osobą gdyby nie one. Jedyne, co chciałabym, żeby wyglądało inaczej to doświadczenia edukacyjne w szkole podstawowej, które mocno zniszczyły moje poczucie własnej wartości. Być może wołałabym, żeby moi rodzice potraktowali mnie wtedy poważniej, zauważyli moje problemy i przenieśli mnie do innej szkoły. Poza tym epizodem, wydaje mi się, że moja historia jest bardzo pozytywna, że ogólnie rzecz biorąc mam dużo szczęścia w tym jaką mam rodzinę, na jakich ludzi trafiłam w życiu, jakiego mam męża, że mam swoje miejsce w Kościele, że realizuję się w byciu mamą Róży.

Cieężko mi też wyobrazić sobie swoją przyszłość w jakiś bardzo konkretny sposób. Nie jestem związana mocno z jakimś scenariuszem, który siedzi mi w głowie. Nawet wołałabym, żeby życie mnie czymś zaskoczyło lub żebym podjęła w którymś momencie jakąś zwrotną decyzję. Nie chciałabym pograć się w marazmie. Mieć dwoje dzieci, jakiś etat, kredyt i tyle. Widzę, że nasze społeczeństwo jest tak zorganizowane, że pograżamy się w wewnętrznej stagnacji, że w którymś momencie stabilizacji zanika nasz pęd do rozwoju. Chciałabym zajmować się czymś, co będzie dla mnie wyzwaniem, co będzie mnie prowokować do zmian. Nie wykluczam, że może to być posiadanie większej ilości dzieci.

Chciałabym mieć w sobie większą otwartość na ludzi, pójść do parku, gdzie zamieszkał nowy żul i zaprosić go do siebie na naleśniki. Na przykład.

Często wyobrażam sobie swoją starość. Lubię patrzeć na swoje decyzje przez pryzmat tego, czy pod koniec życia będę ich żałowała. Tak więc wyobrażam sobie siebie i Maćka pod koniec życia razem, trzymających się za rękę, zajmujących się gromadą wnuków, których rodzice są szczęśliwymi, bliskimi nam ludźmi, naszych przyjaciół, z którymi nadal jesteśmy blisko. To są głównie takie proste, może oczywiste rzeczy. Jest w tym jeszcze kilka drobiazgów, które muszę w życiu zrobić: nauczyć się jeździć konno, urodzić dziecko w domu, przejechać się na słoniu w Indiach, zobaczyć Jerozolimę, wymyślić przepis na najwybitniejsze ciasto czekoladowe na świecie, pokonać lęk wysokości, nauczyć się grać na fortepianie *The Heart Asks Pleasure First*.